

WIECZORY TEATRALNE

Przedmiejska królowa

Ale tu nagle pojawiają się Kantek i Felek (Hamerszmit i Kmita) z aktualnymi kupletami i publiczność ożywia się, bije brawa...

Gdzie tkwi błąd? Widzę dwie przyczyny — w nadmiernej celebracji; ot, przypomina się postawa Styki malującego Chrystusa, który mu powiedział — „Ty mnie nie maluj na klęczkach, ty mnie maluj dobrze”. Taką postawę na klęczkach przyjął chyba i reżyser zbyt nie celebrując poszczególne sceny.

I przyczyna druga — to wykonawcy głównych ról — Anna Mozolanka w roli Królowej przedmieścia, czyli zwierzynieckiej czarnej Mańki i Zbigniew Olszewski w roli poety Zygmunta. O Mozolance pisałem dotąd w samych superlatywach. Zdobyła w krótkim okresie tyle wyróżnień, o jakich starsze doświadczone aktorki marzyć tylko mogą całe życie (że wspomnę tylko ubiegłoroczną Złotą Maskę, nagrodę główną SPATIF-u i wiele innych). Chyba zrobiono jej krzywdę, obsadzając w tej właśnie roli. Robi wprawdzie co może, wruszając odśpiewała piosenkę, ale to nie jest Mańka, owa królowa andrusów i urwotłociów ze Zwierzynca, przedmieścia Krakowa. To jest postać z innego wymiaru, z innej epoki.

Zygmunt, w wykonaniu jakże zdolnego Olszewskiego (któremu osobliście przepowiadam karierę), to prawie tragizmny Rodolfo z „Cyganki”, a nie postać z wodewilu — kompana z krakowskiej bohemy.

A przecież jest w przedstawieniu kilka ról, jakie właściwych. Wspaniała scenka sztubaka (Wiesław Radzki) i pensjonarki (Barbara Dej-

mek), jest i kapitalny pisarz gminny (Andrzej Saar), jest i serdecznie witany przez publiczność „mecenas” Goldfisz (Mieczysław Wielicz), są Bibi i Fifi (Ludmiła Legut i Zofia Briskie-Krajewicz), jest i sympatyczny Gula (Bolesław Bombor), jest i pięknie odśpiewana piosenka Felki (Krystyna Bartkiewicz). Jest i feldfobel (Jerzy Głębowski), są i inni...

Może przedstawienie się dotrze, może rozruszają się aktorzy. Bo premiera była szczególna — jubileusz Kardasia, olbrzymi wysiłek włożony w utanczenie przedstawienia (brawa dla Fijewskiej, ale i dla całego zespołu, który wykazał doskonale przygotowanie ruchowe).

Choć nic już nie zdoła zmienić moich zastrzeżeń do reżysera i obsady dwóch głównych ról, że nie wspomnę o scenografii, o której publicznie nie chciałbym się wypowiadać.

I jeszcze jedna marginesowa uwaga. Ostatnio z niepokojem śledzę pewną manierę. Otóż mówienie „forte” u niektórych aktorów przekształca się w chrapliwy krzyk, w którym giną słowa... Głośno, nie znaczy niezrozumiale...

Ale na zakończenie bilem brawa, za chwilę rbzrywki, za chwilę zadumy, za pięknie śpiewane melodie, za tańce. I bilem brawa autorowi oprawy muzycznej, niezastąpionemu Grzeli Kardasiowi.

MICHAŁ KORCZYŃSKI

Konstanty Krumłowski „KRÓLOWA PRZEDMIEŚCIA” Teatr Polski premiera 28 lutego 1976. Reżyser JERZY WRÓBLEWSKI, scenografia LUCJA KÓSSAKOWSKA, choreografia BARBARA FIJEWSKA, kierownictwo muzyczne GRZEGORZ KARDAS.

665 Wpierw kilka słów obrony. Kiedy na afiszach Teatru Polskiego ukazała się zapowiedź „Królowej przedmieścia”, tu i ówdzie, w pewnych kręgach tak zwanych koneserów odezwały się pochrząkiwania — co to za „штуčka”, to obniżenie poziomu, gdzie ambitne pozycje? Nie dajmy się jednak zwieść tym głosom. W repertuarze jedynego teatru w mieście jest miejsce i na Szekspirowskiego Ryszarda i Krumłowskiego, zwłaszcza według inscenizacji Leona Schillera. Przecież Schiller nie dlatego zabrał się za „Królową przedmieścia”, bo chciał schlebic gustom mniej wybrednej publiczności. Przecież to właśnie perypetie zwierzynieckiej Mańki z „cygarfabryki” zastąpiły na krakowskiej scenie przygody wiedeńskich hrabin i księciów, Lehárovskie walczyki zastąpiły nasze melodie, rodem znad Wisły, ujmując pięknem melodii, aktualnością kupletów i... sercem, które włożył Krumłowski.

I chyba to serce, ten sentyment autora przystosił nieco reżyserowi koncepcję inscenizacji. Sama sztuka, jej wymowa, jej aktualność — przybłądy przecież mocno, wywietrzały całkowicie. Przecież sam Boy w latach trzydziestych pisał, że za pięćdziesiąt lat sztuki w rodzaju „Królowej”, czy „Krowoderskich zuchów”, nie będą do strawienia.

A jednak, odpowiednia stylizacja, wnteslenie oryginalności może ożywić, ba, nawet zachwycić widza. Niestety, niewiele z Schillerowskiej wizji pozostało w bydgoskim przedstawieniu. Jest nawet taki moment w drugim akcie, kiedy na widowni słysząc ziewanie, bo ze sceny zaczyna wiać nudą... A przecież tego typu sztuka nie może widza pozostawić ani na moment obojętnym, biernym. Albo go wciągnie od pierwszych kwestii, od pierwszych melodii, albo widz wyjdzie zaudzony...